

PLAN BŁOGOSŁAWIONY

GDY WSZYSTKO ZACZYNA SIĘ SYPAĆ,
NAJGORSZE POMYSŁY BRZMIĄ ROZSĄDNIE.



DARIUSZ GIERON

PLAN BŁOGOSŁAWIONY

DARIUSZ GIEROŃ





ROZDZIAŁ 1

Pociągnął za spust. Iglica uderzyła w pustą komorę, wydając charakterystyczne kliknięcie. Wyciągnął lufę Walthera P99 z kulochwyty i odłożył służbowy pistolet do szafy na broń. Kolejny dzień, w którym nie padł ani jeden strzał, można uznać za sukces.

Pomieszczenia „BOA”, jak nazywano Centralny Pododdział Kontrterrorystyczny Policji przy ulicy Włochowskiej, były akurat w remoncie i część ekipy korzystała z gościnności niedalekiej komendy. Lokalni policjanci traktowali ich trochę jak egzotyczną ciekawostkę. Funkcjonariusze jednostki specjalnej wzbudzali ciekawość połączoną z nutą ostrożności.

Zanim wyszedł z pracy, zajrzał jeszcze do pomieszczenia dyżurnych. Zaglądał tam codziennie, udowadniając, że wiceszef owianego legendą oddziału kontrterrorystów nie czuje się w żaden sposób lepszy od zwykłych policjantów, którzy każdego dnia babrają się w brudach warszawskich ulic.

Tego dnia panował straszny młyn. Radio charczało dziesiątkami komunikatów, a telefony ustawione w rzędach na biurku nieustannie dzwoniły. Dwójka dyżurnych uwijała się jak w ukropie, usiłując odpowiadać przynajmniej na te najpilniejsze. Kosin zawsze się zastanawiał, jak do obsługi tylu środków łączności można było wyznaczyć tylko dwie osoby. Nie mieli fizycznej możliwości, by to skutecznie ogarnąć.

Uniósł rękę w geście pozdrowienia i zamierzał się wycofać, by nie dokładać cegiełki do tego chaosu. Dyżurny Sławosz – Kosin zapamiętał jego rzadkie imię z kilku poprzednich spotkań – wykazywał się doskonałą podzielnością uwagi. Prowadził rozmowę radiową, wprowadzał do systemu opis zdarzenia zupełnie z rozmową niezwiązanego, odmachnął Kosinowi i nacisnął przycisk elektromagnesu otwierającego drzwi wejściowe do komendy. Wpuszczona do środka para policjantów z patrolu wlokła stawiając bierny opór kobietę. Drugi z dyżurnych usilnie coś klikał w systemie, ale jego nieruchomy wzrok wbity w monitor wskazywał, że właśnie doznawał czegoś w rodzaju przeciążenia systemu.

Wiek kobiety był niemożliwy do ustalenia bez sprawdzenia jej dokumentów. Zgrabne nogi i młode ramiona nijak nie pasowały do zniszczonej twarzy, pełnej przedwczesnych zmarszczek i siniaków, niedających się ukryć pod niedbale nałożonym makijażem.

Policjanci usadzili kobietę z nadgarstkami skutymi na plecach na ławce w korytarzu. Opadła na siedzisko z półprzymkniętymi powiekami. Zdawało się, że zaraz zaśnie. Nagle poderwała się na nogi, czym ponownie przykuła uwagę zasapanych mundurowych.

– Dzieci! Muszę do dzieci!

Młoda policjantka przeklęła siarczyście. Wyciągnęła notes i zaczęła ustalać, gdzie owe dzieci się znajdują, pod czyją są opieką, o ile w ogóle pod czyjąś są, ile mają lat i tak dalej. Młody policjant z jedną belką na pagonach, zobaczywszy, że kobieta trochę się uspokoiła, wszedł do pomieszczenia dyżurnych.

– Cześć. Musicie kogoś tam posłać. Podobno w mieszkaniu jest dwójka dzieci, chyba pod opieką konkubenta, ale „matka roku” mówi, że to źle.

– Ile mają lat? – Dyżurny zadał pytanie, nie odrywając oczu od monitora.

– Siedem albo osiem, nie jest pewna. I jakieś malutkie, tak mówi: „malutkie”.

– To jeszcze pewnie opiekę społeczną trzeba będzie ściągnąć na miejsce, ale najpierw musimy to potwierdzić, i tak na razie nie ma kogo wysłać.

– Lepiej kogoś znajdziecie, bo kobita trochę panikowała, jak dotarło do niej, że dzieci zostały z jej przyjaciele. A nie wygląda na osobę szczególnie opiekuńczą.

– Nie ma opcji. – Sławosz uniósł palec w geście uciszenia i odebrał telefon.

Na aparacie wyświetlało się dużymi literami WCPR, skrót od Wojewódzkiego Centrum Powiadamiania Ratunkowego. Dyżurni WCPR-u nie dzwonili z błahostkami. Drobne zdarzenia opisywano zwięźle w zgłoszeniu przesyłanym przez system teleinformatyczny i w większości przypadków było to wystarczające. Nie tracono czasu na rozmowy pomiędzy różnymi służbami. Telefon od operatora numeru sto dwanaście pojawiał się tylko w sprawach trudnych.

– Ja to wezmę. Podaj mi adres – wtrącił się Kosin. Uznał to za dobry moment, by pokazać, że dumni kontrterrorysty nie mają oporów przed szarą policyjną robotą.

– Pan? Ale jak?

– No zwyczajnie. Też jestem policjantem, nie? Mamy w ustawie taki punkt jak wspieranie działań jednostek organizacyjnych policji w warunkach szczególnego zagrożenia. Dyżurni jakoś to ogarną w systemie, a jak ktoś się zwolni, to przyślą patrol.

Słowa Kosina wywołały konsternację u młodego policjanta. Dyżurny jakby się na chwilę zawiesił. Przeprocesował okoliczności i wyszło mu, że lepiej będzie się tłumaczyć z wysłania policjanta z nie swojej jednostki organizacyjnej niż z beczynności wobec potencjalnego zagrożenia dla małoletnich.

– Dobra, niech pan jedzie – odpowiedział Sławosz po chwili zawahania, po czym zwrócił się do młodego policjanta: – Pewnie i tak najszybciej wy tam pojedziecie, tylko musicie się uwinąć z zatrzymaniem.

Ostatnie słowa dyżurnego starszy posterunkowy przyjął z westchnieniem, ale pospiesznie wrócił do korytarza, by pomóc policjantce w czynnościach.



Drzwi do mieszkania zostały obite blachą w jakiejś samoróbnej wariacji na temat antywłamaniowości. Kosin skupił się na dźwiękach dochodzących z wnętrza. Zdawało mu się, że słyszy płacz dziecka, jednak dźwięki były na tyle ciche, że nie miał pewności, czy nie dochodzą z któregoś z sąsiednich mieszkań. Sięgnął do dzwonka, lecz cofnął rękę. Jeśli w środku przebywały jakieś dzieciaki, mogły sobie nie radzić z kuchenką gazową. W takim wypadku dzwonek zadziałałby jak detonator, a to nie skończyłoby się dobrze dla nikogo.

Solidnie załomotał w blachę i zawołał:

– Policja, proszę otworzyć!

Teraz wyraźnie usłyszał ruch w środku. Może grzeczne dzieci miały polecenie od kochającej mamusi, żeby nikomu nie otwierać? Powtórzył łomotanie i krzyknął jeszcze głośniej. Współpraca z małoletnimi to nie była jego bajka. Pomyślał, że może właśnie przestraszył dzieciaki bardziej niż przedłużająca się nieobecność matki.

Zapukał jeszcze raz, delikatniej, i łagodnie poprosił o otwarcie. Bez efektu.

Westchnął i kopnął na wysokości zamka. Drzwi wpadły do środka i odbiły się od ściany, okazując się tanim płatem drewnopodobnej dykty. Kosin podziękował w duchu komuś, kto się

pokwapił i obił je blachą, bo gdyby nie ona, teraz pewnie tkwiłby z nogą uwięzioną w dość komicznej pozycji.

– Policja, wchodzę do środka! Jest tu ktoś?

Odpowiedziała mu cisza. Na korytarzu jeden z sąsiadów wyrzwał ze swojego mieszkania i zaraz schował się z powrotem. Do nozdrzy Kosina dotarła gryząca mieszanka zapachów przypalonego jedzenia i – o ile dobrze rozpoznawał – dziecięcej kupy. Nie wyczuwał gazu, więc nie było najgorzej.

Minął kuchnię ze zlewem i blatem zawalonym stertą brudnych naczyń, styropianowych opakowań po gotowych daniach i plastikowych sztucców. Zajrzał do łazienki, z której chyba nikt nie chciałby korzystać, i skierował się do jedyne go pokoju. W oczy rzucał się nowoczesny telewizor – zajmował pół ściany i mocno kontrastował ze starymi, zniszczonymi meblami. Obok telewizora, w samym kącie pokoju, stał spory karton po bananach, w którym Kosin dopiero po chwili dostrzegł leżącego na poduszce maluszka. Zbliżył się i nabral pewności co do źródła przynajmniej jednego z zapachów. Dziecko wyglądało, jakby spało, ale nie snem zdrowego, najedzonego niemowlaka, jaki zwykle widuje się w reklamach. Wychudzony maluch miał na sobie jedynie jednorazową pieluchę, tak przepelnioną, że na drobnych nóżkach i poduszce pojawiły się żółtobrązowe zacieki. Oddech dziecka był płytki, a rączki – sine i wygięte pod nienaturalnym kątem. W Kosinie zawrzała krew. Nie ulegało wątpliwości, że niemowlak ma je obie złamane. Zwyródniałcowi, który to zrobił, to widocznie nie wystarczyło, bo na policzku maluszka widniały dwie okrągłe ranki, średnicą idealnie pasujące do niedopałków widocznych w popielnicze.

Kosin wyciągnął telefon i wybrał bezpośredni numer do dyżurnych. Cyfrowa centrala telefoniczna musiała wyświetlić na aparacie, kto dzwoni, bo Sławosz odebrał niemal natychmiast.

– Starszy aspirant...

– Kosin z tej strony – przerwał regulaminowy słowotok dyżurnego. – Przyślijcie mi tu pogotowie, i to naprawdę szybko. Jest tu malutkie dziecko i wygląda, jakby... wygląda strasznie. Możliwe złamanie i nie wiem, co jeszcze, ale na pewno pilnie potrzebuje pomocy.

– Dobra, wysyłam. Patrol też za chwilę powinien zjawić się na miejscu.

Kosin się rozłączył i usłyszał coś za sobą. Odwrócił się w kierunku szafy, zgadując, że w środku schowało się drugie dziecko, to starsze. Kucnął przed meblem. Podobno dzieci lepiej reagują na obcych, jeśli ci kucną albo się schylą. Prawdopodobnie wydają się wtedy mniej groźni.

– Nie bój się. Jestem policjantem, nic ci nie grozi – próbował przybrać uspokajający ton.

Nie był w tym najlepszy. Zwykle pracował z dorosłymi, i to takimi, na których trzeba było nieźle ryknąć, a to już wychodziło mu świetnie. Powoli przesunął drzwi, dając dziecku szansę na to, żeby przyzwyczało oczy do większej ilości światła. Kiedy szpara osiągnęła kilkanaście centymetrów, nagle pociemniało mu w oczach. Upadł na bok, czując piekący ból rozciętej skóry na głowie. Jak przez mgłę zobaczył rozmazaną sylwetkę mężczyzny wychodzącego ze środka. Krew spływająca po czole zalewała mu lewe oko. Wsparł się na rękach, próbując odzyskać kontrolę nad miękkimi kończynami.

Usłyszał cichy płacz. Otarł krew, ale w ograniczonym polu widzenia nie dostrzegł napastnika. Zajrzał do ciemnego wnętrza szafy. W kącie, wciśnięty pod jakąś kurtkę, siedział kilkuletni chłopiec. Był przerażony i płakał, ale poza tym Kosin nie widział, żeby dziecku cokolwiek dolegało.

– Nie bój się, nic ci nie będzie. – Kosin odpuścił sobie próby wyciągania chłopca. Ruszył w stronę korytarza i kuchni, z której dobiegały odgłosy trzaskających drzwiczek.

Chudy mężczyzna w bokserkach i wyciągniętym podkoszulku na ramiączkach usilnie szukał czegoś w szafce wiszącej przy oknie. Kosin zwalczył w sobie chęć popchnięcia zwyrodnialca. Nie musiałby używać wielkiej siły, by facet wyleciał przez okno z trzeciego piętra. To jednak nie było do końca bezpieczne – mógł spaść na kogoś i w ten sposób powiększyć sumę nieszczęść spowodowanych na innych swoją marną egzystencją.

Pochłonięty poszukiwaniami chudzielec nie zwrócił uwagi na obecność Kosina. Przeniósł swoje zainteresowanie na dolną szafkę i wsadził tam obie łapy, próbując coś wyciągnąć. Kosinowi mignął przed oczami obraz maluszka ze złamanymi rączkami. To było jak impuls wyzwalający reakcję organizmu. Zrobił krok do przodu. Do niewielkiego rozpędu dołożył swoje dziewięćdziesiąt pięć kilogramów i co najmniej drugie tyle furii. Kopnął w drzwiczki zdezelowanej szafki. Zaparł się o przeciwległy blat i kopnął jeszcze raz.

Chudzielec stęknął i zastygł z wyciągniętymi ramionami. Kosin kopnął ponownie, usłyszał trzask wyrrywanych zawiasów i czegoś jeszcze. Mężczyzna opadł na podłogę wraz z drzwiczkami.

– Zostaw go! – Głos policjantki wyrwał Kosina z amoku.

Wpadła do kuchni i stanęła przed nim, blokując dostęp do kwilącego zwyrodnialca. Kosin oddychał ciężko. Widział wszystko w czerwonych barwach. Nie był pewien, czy to z powodu krwi spływającej do oczu, czy z wściekłości.

– Zostaw tego skurwysyna i zajmij się dziećmi – wydyszał.

W oczach policjantki dostrzegł złość, ale po chwili kobieta zniknęła, a jej miejsce zajął starszy posterunkowy.

Dalsze czynności potoczyły się w zasadzie bez udziału Kosina. Na miejsce przybywali kolejni policjanci, opieka społeczna, karetki pogotowia. Wszyscy robili swoje, omijając go z daleka, jedynie ratownik medyczny, który próbował doraźnie skleić mu

skórę na głowie, z nim rozmawiał, usilnie nalegając na zabranie do szpitala. Dał sobie spokój dopiero, kiedy Kosin podpisał kwit o rezygnacji ze świadczenia medycznego, ale i tak podsusmował to jeszcze stwierdzeniem, że mężczyzna źle robi.

Młoda lekarka zajęła się maluszką z istic matczyną czułością, a kiedy inni ratownicy wyprowadzali chudzielca, jej wzrok zapłonął wściekłością. Przytuliła starszego chłopca, zasłaniając mu swoim ciałem widok na przyszywanego tatę.

Kosin czuł, że wszyscy unikają z nim kontaktu. Wiedział, że przesadził. Złamał policyjny elementarz i obie ręce chudzielca. Dał się ponieść i nadużył siły, a co gorsza, został na tym przyłapany. Mimo to na widok przedramion tego gościa, bezwładnie wiszących na podobieństwo połamanych rączek dziecka, poczuł gorzką satysfakcję. Doświadczenie mu podpowiadało, że to może być jedyna sprawiedliwość, jaka spotka to coś, tę kreaturę, której nawet w myślach nie był w stanie nazwać człowiekiem.

Ilość towaru, jaką zwyrol przyjął przed wizytą Kosina, sprawiła, że ocieranie się o siebie zgruchotanych końcówek kości łokciowych, które każdego doprowadziłoby na szczyty bólu, było tylko odległym mrowieniem. Cała nadzieja w tym, że kiedyś prochy przestaną działać, a ratownicy nie będą go zbyt hojnie częstować środkami przeciwbólowymi.



Siedział na tarasie i patrzył przed siebie. Poranne słońce rozgrzewało chłód poranka. Delektował się spokojem. Zaswędziało go blizna na czole. Wspomnienie felernej akcji nieco psuło smak kawy. To nie przez tę akcję odszedł ze służby, ale to właśnie ona była kamyczkiem, który uruchomił lawinę zdarzeń. Nie tak chciał odejść. Nie w atmosferze niesmaku kładącego się cieniem na latach służby. W pracy dawał z siebie, co najlepsze, tyle że

niekiedy wychodziło z niego też to, co najgorsze. To najgorsze zawsze kierował we właściwe miejsce.

Nie żałował tego, co się wydarzyło, szczególnie po tym, jak facet został wypuszczony przez sąd z uwagi na potrzebę zapewnienia właściwej opieki starszemu z dzieci, do którego w przyspieszonym tempie nabył prawa rodzicielskie, żeniąc się z jego matką. To tylko potwierdzało opinię Kosina, że opaska na oczach Temidy, zamiast zapewniać bezstronność, często przysłaśniała to, co najważniejsze.

Młoda policjantka była oburzona zachowaniem Kosina – od agresji wobec podejrzanego chyba bardziej ubodło ją skierowanie do zajmowania się dziećmi. Uznała to za niedopuszczalny seksizm i poszła na skargę. Po rozmowie z przełożonymi dała sobie spokój. Pomogły w tym rozmowa oraz okazały woreczek z suszem marihuany należący do chudzielca, którego znalezienie w kuchennej szafce przypisano właśnie policjantce. Może nie tyle sam woreczek, co nagroda za szczególnie skuteczne działania. To wtedy Kosin po raz pierwszy poczuł, że przestaje tam pasować.

Dostał polecenie, by odbyć sesję z psychologiem. Poszedł na nią, ale nie przebiegła ona najlepiej. Młodziutka psycholog prawdopodobnie starała się, jak mogła, jednak kiedy po raz kolejny usłyszał o technikach radzenia sobie ze stresem, medytacji i ćwiczeniach oddechowych, uznał, że nie mają o czym rozmawiać, i wyszedł. Powstrzymał się przed trzaśnięciem drzwiami, zostawił je za sobą szeroko otwarte, podobnie jak oczy i usta zaskoczonej psycholożki.

Oczywiście informacja o innym od oczekiwanego przebiegu rozmowy z psychologiem trafiła do szefa, który w konsekwencji wysłał Kosina na przymusowy urlop. Pomysł ten bardzo by Kosinowi odpowiadał, gdyby nie sprawa kilku powiązanych ze sobą zabójstw, przy której miał zostać szefem zespołu dochodzeniowego.

Nie mógł tego zostawić, wiedział, że policjanci z małego miasteczka, gdzie doszło do domniemanych zabójstw, mogą nie mieć na tyle doświadczenia, by skutecznie przeprowadzić śledztwo, więc postanowił im pomóc na własną rękę.

Sprawa zabójstw też nie poszła najlepiej. Szefostwo nie dostrzegło zalet w zaangażowaniu Kosina, a konieczność sprzątnia po jego spotkaniach z przedstawicielami lokalnego światka przestępczego przeważała szalę. Dostał propozycję przejścia na zaopatrzenie emerytalne, a duma nie pozwoliła mu odmówić. Odszedł z honorami i tylko w kuluarach szumiało od skrajnych opinii. Jedni nie mogli zrozumieć, jak można pozbyć się człowieka, który od lat był podawany za przykład skuteczności, inni nie mogli zrozumieć, dlaczego dopiero teraz pozbywano się człowieka działającego w sposób dalece wykraczający poza dopuszczalne prawem ramy.

Pociągnął łyk gorzkiej kawy i odpędził ponure myśli o ostatnich tygodniach spędzonych w policji. Nie żałował swoich decyzji. Służba była już za nim. Napawał się świeżym porannym powietrzem i widokiem z tarasu. Wreszcie miał czas, żeby się tym nacieszyć. Spojrzał na telefon – wciąż nie wyzbył się nawyku nierozstawania się z nim nawet na chwilę – ale ten od kilku dni milczał jak zaklęty. W podświadomości Kosina pełzało poczucie ciszy przed nadciągającą burzą.



ROZDZIAŁ 2

Jesteśmy słabi... Przegrywamy, bracie, bo jesteśmy za słabi. Nie potrafimy zawalczyć o to, co ważne. Marnotrawimy dwa tysiące lat wielkiej pracy, modlitw, potu i krwi. To od nas zależy, czy świat pójdzie właściwą drogą, czy pogrzeży się w otchłani niewiary. – Szept Pawła był coraz głośniejszy. – Wiesz, ilu nas jest?

– Jakoś miliard czterysta chyba, najwięcej w historii. – Janusz nie wiedział do końca, czy Pawłowi chodziło w pytaniu o wszystkich katolików, czy o samych księży, ale wybrał tę bardziej optymistyczną liczbę, żeby stawić silniejszy opór w ich gorącej dyskusji.

– Tak, najwięcej w historii. Widzę, że przekaz działa tak, jak Watykan to zaplanował, ale przecież wiesz, jak to się dzieje. Chrzcimy nieświadome istoty, nie dając im wyboru. W Afryce i Ameryce Południowej rośniemy w siłę. Tam chrzczone są całe wsie i to daje te piękne słupki. A w Europie widzisz mały, niewielki i teoretycznie nieistotny, z punktu widzenia całego Kościoła, spadek o jakieś pół miliona owieczek, i to martwych owieczek, bo to głównie osoby, które zmarły. A apostazja to jakiś promil. No pewnie, że promil, bo wszyscy mają na to wywalone i odchodzą od Kościoła w ciszy, ale na papierze nadal pozostają w parafii.

Słowo „promil” przypomniało Pawłowi o resztkach piwa; przechylił szklankę i kontynuował, teraz już na tyle głośno, że

niektóre z osób siedzących przy sąsiednim stoliku zaczęły na nich spoglądać.

– A przecież wszyscy wiemy, dlaczego tak się dzieje. Pedofilia, gejowskie seksimprezy, ciche żony, dzieci, kochanki, alkohol. To już nie średniowiecze, że co ksiądz powie, to jest święte. A przenosiny do innej parafii już nie działają, bo mamy dwudziesty pierwszy wiek i ludzie potrafią czytać, a co gorsza, pisać. Potrzeba nam zrobić porządek we własnym domu. Jak robisz syf, bo nie potrafisz zapanować nad swoimi najniższymi żądzami, to wypierdalaj z naszego pięknego domu, bo szkodzisz, a szkodniki się usuwa permanentnie, a nie przenosi do sąsiedniej doniczki. Tylko potrzeba nam Herkulesa, żeby uprzątnął tę stajnię, żeby znowu było pięknie i pachnąco. – Popatrzył na pustą szklankę i zamyślił się. – Z jednym się zagalopowałem. Alkohol nie jest zły, piję i bliźniemu nie szkodzę, a wręcz przeciwnie. Masz pojęcie, ile osób ma pracę dzięki temu, że pijemy?

Wstał i skierował się w stronę baru po kolejne piwa. Janusz bardzo nie chciał przyznać mu racji, ale od razu pomyślał o tak wielu osobach, których już nie widuje na mszy. O dobrych, porządnym ludziach, którym już z Kościołem jakoś nie po drodze. To nie była jego wina, że ludzie się oddalali. On sam robił, co mógł. Żył skromnie i pracował ciężko, każde kazanie starannie przygotowywał i widział, że jego słowa trafiają do ludzi – o ile ci je usłyszeli, bo Janusz wiedział, że to nie takie oczywiste, nawet jeśli byli na mszy. Dbał o wiernych, jak potrafił najlepiej, i chciał zrobić coś więcej.

Od lat starał się o pieniądze na budowę ośrodka dla dzieci. Wszystkie dzieciaki, których nie stać na dodatkowe zajęcia sportowe czy artystyczne, mogłyby znaleźć tam coś dla siebie. Tak samo jak te, które może nie mają jakichś szczególnych zainteresowań, ale przebywanie w jednym pomieszczeniu z przerażającym ojcem albo pijaną matką sprawia, że każdą możliwą

chwilę spędzają poza domem. Tam już na nich czeka milion złych wyborów. On chciał im wszystkim dać lepszy wybór. Inną możliwość niż siedzenie na podwórku z kumplami i ciągły konkurs na to, kto zrobi coś głupszego. Chciał tym dzieciakom wskazać właściwą drogę, uratować ich przed złem, żeby – wchodząc w dorosłość – niosły ze sobą to dobro do swoich nowych rodzin. Ale jego marzenie umierało. Odbił się od wszystkich możliwych drzwi. Kuria, fundusz kościelny, chyba wszystkie istniejące ministerstwa. Podczas jednego ze spotkań w ministerstwie kultury, gdy starał się o utworzenie dedykowanego funduszu, wszystko szło bardzo dobrze, w sumie widział, że ci ludzie chcą mu pomóc, a kwota, o jaką zabiegał, nie stanowiła problemu. Ten pojawił się w chwili, kiedy Janusz zaczął mówić, że to nie tyle ośrodek dla ogółu wiernych, co konkretnie dla dzieci. To połączenie słów „ksiądz” i „dziecko” włączało u jego rozmówców czerwone światło i dzwonki ostrzegawcze.

Teraz, podczas rozmowy z przyjacielem, do Janusza dotarło, że to nie вина ludzi, którzy boją się przeznaczyć pieniądze na tak przecież wspaniały cel. To вина wszystkich tych kapłanów dających złe świadectwo. I tych niepotrafiących sprzątać we własnym domu biskupów, a nawet samego papieża.

– Niech wypierdalają – wydusił z siebie odrobinę bełkotliwie, kiedy Paweł wrócił z pełnymi szklankami.

Przekleństwo Janusza wywołało szeroki uśmiech na twarzy przyjaciela.

– Widzę, że wreszcie się zgadzamy. Czekałem dwadzieścia lat, żeby usłyszeć od ciebie te piękne słowa!

Janusz też się uśmiechnął. Pamiętał te długie wieczory i noce, kiedy popijając przemycony do seminarium alkohol, prowadzili niekończący się spór o to, czy przekleństwo, a właściwie wulgaryzm jest grzechem. Paweł był absolutnie przekonany, że to zwyczajna część mowy i można, a nawet należy używać jej według

potrzeb i uznania, w przeciwnym razie wypacza się mowę i ogranicza ekspresję przekazu. Janusz uparcie tłumaczył, że nie jest to konieczne. Ekspresję da się przecież wyrażać na tak wiele innych sposobów, a oni mają być wizytówką kościoła i dawać dobry przykład.

Ale tak, niech wypierdalają – stwierdził w duchu i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Smutne jest to, że my możemy posprzątać co najwyżej swój mały pokój, a góra, zamiast zrobić porządek, liczy słupki wiernych i mamonę. Kasa nie płynie z Europy, ale z Ameryki Południowej. Bilans wychodzi na plus.

– Nie interesuje mnie „góra”, ja chcę zrobić coś ważnego, zostawić po sobie jakiś ślad, dobro, które będzie procentowało przez długie lata, nawet jak nas już nie będzie. Potrzeba mi tylko osiemnastu milionów. Jego ekscelencja biskup mnie wyśmiał, nawet nie wchodząc w szczegóły. Czy to tak dużo?

– No drobne to to nie są, ale pomogę, jak mogę. Rachunek w barze już zapłaciłem – rzucił z uśmiechem Paweł i energicznie stuknął szklanką o szklankę.

Siedzieli w najciemniejszym kącie niezbyt popularnego baru w Lublinie. To było ich miejsce jeszcze z czasów seminarium, dawało odrobinę upragnionej prywatności. Wystrój wnętrza trochę się zmienił przez te lata, ale toporne stoły z grubych desek pozostały te same. Możliwe, że któreś z niezliczonych okrągłych plam po szklankach z piwem to ich dzieło. Byli po cywilnemu, bo przez chwilę chcieli zażyć zwykłego życia i zwyczajnie wypić kilka piw, nie przyciągając niczyjej uwagi.

Wrócili taksówką na plebanię znajomego proboszcza, gdzie mieli dogadany nocleg. Janusz wziął prysznic i się położył, ale mimo alkoholu krążącego we krwi długo nie mógł usnąć. To on był inicjatorem spotkania. Nie widział się z Pawłem kawał czasu, czasem tylko do siebie dzwonili albo wysyłali kurtuazyjne

esemesy. A Janusz chciał pogadać z kimś szczerym i życzliwym, bo czuł się zniechęcony i wypalony. Miał w sobie wciąż ten młodzińczy ogień, wiedział jednak, że jeśli nic nie robi, nie postawi kroku naprzód, to ten płomień może bezpowrotnie zgasnąć, zduszony niepowodzeniami i frustracją.

Paweł miał rację – byli słabi. Widzieli tyle rzeczy, które należało naprawić, a brakowało im sił, żeby coś zmienić. Przecież nie po to szedł w te boskie kamasy, żeby udzielać sakramentów jak automat.

Muszę coś zrobić – z tą myślą zasnął.

Śnił o stajni, z której Paweł wypędzał batem złych księży, a kiedy udało się wygnać ostatniego grzesznego kapłana, stajnia zaczęła się zmieniać. Janusz kolejno podchodził i zaglądał do boksów. Do jednego wpadało światło, ukazując rząd białych sztalug z kompletami farb i pędzli, w kolejnym zobaczył stół do tenisa, w następnym pianino i regały z nutami, a jeszcze dalej boks z wygodnymi pufami i konsolą do gier. To był piękny sen.



Na drugi dzień zjedli wspólne śniadanie w niemal całkowitym milczeniu. Obaj odczuwali skutki wczorajszych piw. Paweł odprowadził Janusza na dworzec kolejowy, gdzie na peronie już czekał pociąg do Warszawy. Pożegnali się więc szybko i serdecznie. Kiedy Janusz już wchodził na stopnie wagonu, Paweł zawołał:

– Nie odpuszczaj! I dzwoń, jak będziesz czegoś potrzebował!



Dwugodzinną podróż Janusz spędził zatopiony w myślach. Trochę zazdrościł przyjacielowi jego podejścia do rzeczywistości.

Historia, którą usłyszał poprzedniego wieczoru, nie chciała mu wyjść z głowy. Paweł nigdy nie miał skłonności do konfabulacji, więc to zapewne piwo swoim podstępным działaniem spowodowało, że jego opowieść brzmiała tak nieprawdopodobnie.

Zawsze niepokorny, dopiero relatywnie niedawno został proboszczem w małej podlubelskiej miejscowości. Jego poprzednik zmarł w wyniku ostrego zatrucia alkoholowego. Nie było chętnych, by objąć opustoszałą parafię – niszczący zabytkowy kościółek świętego Jerzego na wzgórzu i rozpadającą się opodal plebanię. Wiernych też nie było wielu, a to nie dawało praktycznie żadnych perspektyw, tylko rodziło problemy. Wydawało się, że to parafia z kategorii „karnych”, gdzie księża trafiali, żeby odpokutować za swoje nieroztropne czyny, czyli głównie za nieposłuszeństwo wobec przełożonych. Tymczasem młody Paweł wybrał tę parafię sam, a że akurat nie było pod ręką księdza, któremu należałoby wskazać miejsce w szeregu poprzez zesłanie go do tej zapadłej dziury, problem z obsadzeniem parafii się rozwiązał. W sumie kto wie, czy Paweł i tak nie trafiłby tam w ramach prewencyjnego rozlokowania jednostki niepokornej.

Młody ksiądz miał jeden dar: potrafił przekonywać ludzi do swoich idei. Problem jednak stanowiło to, że jego idee często były, delikatnie mówiąc, nieszablonowe, a przede wszystkim nie do końca zgodne z podejściem kurii. Do biskupa dotarły informacje o płomiennych kazaniach młodego księdza, który zachęcał ludzi, by cieszyli się z życia i korzystali z owoców swojej pracy. To pachniało hedonizmem, a może nawet anarchią i niewątpliwie wymagało zainteresowania ze strony przełożonych. Radość wiernych miała koncentrować się wokół świąt i sakramentów – wtedy przedstawiała sobą podwójną wartość, poprzez kontrast z trudami zwykłego dnia i szarą codziennością umacniała wiarę, a przy okazji sprawiała, że ludzie łatwiej dzielili się swoimi dobrami z kościołem. Niestety specjaliści od

sprzedaży dawno temu zauważyli wyjątkowość świąt i skutecznie korzystali z ich atmosfery, co rusz kreując nowe pogańsko-handlowe okazje. A nie po to z takim mozołem walczono z niedzielnym handlem, żeby teraz jakiś podrzędny ksiądz zakłócał cykl radości połączonej z ofiarą. Na miejsce został więc skierowany oficjał, biskupi urzędnik, przewodniczący biskupich sądów i prawdziwy postrach wszystkich podległych duchownych. Miał przyjrzeć się sytuacji i skorygować zapędy świeżo upieczonego proboszcza.

Kiedy oficjał dotarł do kościoła świętego Jerzego z zamiarem udzielenia szybkiej reprimendy, zastał plac zawalony wszelkiej maści materiałami budowlanymi i kilka osób pracujących na dachu nad wymianą modrzewiowego gontu. Paweł, zaskoczony wizytą oficjała, przerwał nakładanie gładzi gipsowej w plebanii i w roboczej koszuli oprowadzał go, pokazując rozpoczęte prace oraz z błyskiem w oczach opowiadając o tym, co jeszcze można zrobić, jak Bóg da. Wyglądało na to, że ludzie całkiem chętnie dzielili się owocami swojej pracy z młodym proboszczem.

Wizyta zakończyła się szybko, oficjał z obowiązku przekazał Pawłowi, że uważnie przyglądają się jego pracy. Od tamtego czasu parafia rozkwitła. Kościół nabrał blasku, nie tracąc nic z zabytkowego uroku. Plebania i teren kościoła były zadbane, a wierni przyjeżdżali na msze nawet z sąsiednich parafii, by posłuchać młodego księdza.

Paweł, przy okazji różnych sakramentów pytany o to, ile się należy, nie mówił „co łaska”, tylko że nie jest to konieczne, bo on właśnie po to tutaj przyjechał, to jego robota. Jak chcą, to przy wejściu znajduje się skarbona, on nie chce wiedzieć, ile kto daje. Wobec Boga, a więc i dla księdza, wszyscy są równi, niezależnie od wielkości ofiary. Zrezygnował też z tacy i wprowadził zwyczaj podpatrzony w jednym z opolskich kościołów. Wierni wstawali i szli kolejno, by pocałować zabytkowy krzyż.

Jeśli ktoś miał życzenie, wrzucał coś do skarbony ustawionej obok. Ku zdziwieniu samego Pawła to działało. Działo nie tylko w wymiarze finansowym, ale też w wymiarze duszpasterskim. Ludzie chcieli być na jego mszach i słuchać jego kazań. Chcieli zrobić coś dla kościoła. Teraz, po tych kilku latach, to już nie on mówił, co chciałby zrobić w kościele. Teraz to parafianie przychodzili do niego z przeróżnymi pomysłami – a to że chcieliby posadzić drzewa na podjeździe, innym razem że znają takiego emerytowanego odlewnika i zrobią figurę jakiegoś świętego, żeby witała wiernych. Parafianie zaczęli czuć, że to ich kościół i plebania, a nie miejsce zamieszkania i pracy księdza. Widać było poczucie wspólnoty, którego tak brakowało przez lata urzędowania poprzedniego proboszcza, wygłaszającego banały z ambony i skrzętnie przepijającego każdy grosz z tacy.

Samego Pawła zdumiewało, jak łatwo przychodziły postępy. To prawda, że starał się, jak mógł, wiedział jednak, że to nie tylko jego zasługa. Uważał, że tutejsi ludzie tęsknili do prawdziwego Kościoła.



Pewnej nocy, obudzony grzmotami podczas burzy, Paweł poszedł do kościoła, moknąc w deszczu pośród błyskawic, żeby się upewnić, czy wszystkie okna są pozamykane i czy dach nie przecieka. Po obejściu świątyni, uspokojony, klęknął pod krzyżem, by podziękować Bogu za to, że nic złego się nie stało. Będąc jeszcze na kolanach, spojrzał w górę na stary drewniany krucyfiks. Belka pionowa liczyła niemal trzy metry. Chropowate, poczerniałe ze starości, umęczone drewno popękało w wielu miejscach, tworząc fantazyjną mozaikę. Ramię, ewidentnie wykonane z młodszego surowca, kontrastowało gładkością i jaśniejszym odcieniem, wydawało się zupełnie nie pasować do

wiekowego trzonu. Pawłowi przyszła do głowy myśl o potrzebie wymiany krzyża na nowy, może taki częściej używany w Kościele katolickim, z figurą Jezusa Chrystusa.

Kolejna błyskawica wyrwała krzyż z półmroku panującego w kościele pomimo włączonych świateł. Pawłowi wydało się, że w blasku zobaczył zarys figury na starym drewnie. Mimo swojego fachu pozostawał sceptyczny co do wszelkich objawień, teraz jednak gotów był uznać to za znak. Gdy zaczął sobie wyobrażać wygląd nowego, okazałego krucyfiksu, kolejne pioruny uderzyły gdzieś blisko, rozświetlając wnętrze na dłużej. Teraz Paweł zobaczył wszystko wyraźniej. Nie był to zarys Jezusa Chrystusa na krzyżu, jaki zna każdy katolik, a coś jakby potężna, brodata postać, ledwie widoczna na poorly pęknięciami powierzchni. Przeżegnał się z pokorą i wypadł z kościoła, by po chwili, już całkiem przemoczony, powrócić z akumulatorową lampą, której używał niedawno przy remoncie w plebanii. Oświecił krzyż, ale poza starym drewnem, które widywał każdego dnia, nie zauważył nic nowego, no może poza kupkami drewnianego pyłu na podłodze pod krzyżem, wyprodukowanymi zapewne przez korniki. Przybliżył lampę do drewna w poszukiwaniu charakterystycznych dziurek, ale nic takiego nie wypatrzył. Skierował światło dalej, do góry, i znalazł. Na obu ramionach krzyża widniały setki małych, niemal niewidocznych z pewnej odległości dziurek. Starsze drewno widocznie było zbyt twarde dla drewnożernych szkodników. Dopiero światło skierowane z boku, a nie na wprost ukazało skalę zniszczenia. Paweł przypuszczał, że pozioma belka była niemal pusta w środku, pewnie mogłby przełamać potężne ramię jak kawałek styropianu.

Przyszła mu do głowy pewna myśl. Odszedł z lampą na bok i położył ją na parapecie witrażowego okna. Strumień światła skierował w stronę krzyża pod ostrym kątem, naśladując oświetlenie błyskawicy. Stanął na wprost krzyża i teraz to zobaczył.

Na powierzchni pionowej belki, wśród mozaiki niezliczonych pęknięć, dało się zauważyć minimalne cienie w zagłębieniach drewna, układające się w postać potężnego mężczyzny z długą brodą i w hełmie. Dostrzeżenie sylwetki wymagało wysiłku, Paweł zmrużył oczy, by lepiej widzieć płytki ryt. Postać odziana w kurtę czy zbroję za pasem dzierżyła młot, na którym wspierała prawą dłoń. Lewa spoczywała na pasie. Przedstawienie było dość prymitywne, ale każdy element dało się rozpoznać. Sylwetka była nieproporcjonalna, czegoś w niej brakowało. Ksiądz, podniecony odkryciem, dopiero po chwili zauważył, że nie widać ramion. Wziął lampę i zaczął oświetlać boki krzyża pod różnymi kątami, jednak niczego tam nie dostrzegł. Surowe drewno, jeszcze bardziej nierówne niż z przodu; gdzieś widać było oderwane włókna, w kilku miejscach odznaczały się prostokątne zagłębienia, jakby odciski klinów. Ktoś musiał odłupać po obu stronach kawały pierwotnej belki, żeby uzyskać wymiary właściwe dla krzyża.

Paweł przyniósł krzesło. Wspiął się na nie, żeby lepiej przyjrzeć się górnej części. Widoczna ponad ramionami krzyża prosto odwzorowana twarz zachowała się w całości, choć też ledwie ją zauważył. Pierwotnie górna część belki była zapewne węższa. Na załamaniu widział, jak zarys twarzy przechodzi we włosy, a te kończą się tak jak na froncie i przechodzą w nieco cofniętą powierzchnię. Możliwe, że na bokach kiedyś też ukazano odwzorowanie twarzy, lecz ją odłupano. Z prawej strony wyglądało to podobnie, z tym że na wysokości oczu i ust postaci dało się zauważyć niewielkie poprzeczne zagłębienia. Boki schodziły się ku sobie pod ostrym kątem, tworząc trójkąt. Krzyż dotykał ściany, więc Paweł nie mógł sprawdzić, co znajduje się z tyłu.

Na drugi dzień wstał o świcie z planem zdjęcia krzyża ze ściany. W nocy zastanawiał się, czy da radę zrobić to samodzielnie, i próbował oszacować jego wagę. Przeliczył przybliżone

wymiary belek i, biorąc pod uwagę, że było to prawdopodobnie drewno dębowe, wyszło mu coś między dwieście a trzysta kilogramów. Zadzwoił do kościelnego z pytaniem, czy może przyjść i czy nie ma jeszcze jakichś rąk do pomocy, bo muszą zdjąć ten stary krzyż, żeby wytruć korniki, zanim te doszczętnie go zjedzą.

Kościelny, krzepki mężczyzna po siedemdziesiątce, dorabiał sobie do emerytury jako pracownik techniczny w domu dziecka. Pracował tam, kilka kilometrów od kościoła, codziennie do południa. Musiał jeszcze coś dokończyć, ale obiecał, że niebawem zjawi się z silnym pomocnikiem.

Zanim dotarli na miejsce, Paweł zdążył kupić środek na korniki. W lokalnym sklepie mieli ostatnią pokrytą kurzem i, jak się okazało, przeterminowaną puszkę. Czekał za ołtarzem, wpatrując się w krzyż, z obawą, czy czegoś nie zauważą, ale w rozproszonym okiennymi witrażami świetle dnia ryt stał się całkowicie niewidoczny.

Odwrócił się, gdy usłyszał ciężkie robocze buty kościelnego uderzające o kamienną posadzkę.

– To ksiądz Paweł. Przedstaw się, Jacuś, bo we kościele to cię chyba jeszcze nie widzieli. – Wesoły ton kościelnego zdradzał sympatię do przyprowadzonego chłopaka.

– Jacu... Jacek Kołodziej. – Lekko speszony młodzieniec wyciągnął dłoń i z nieco wymuszoną pewnością siebie zrobił krok do przodu, żeby się przywitać.

– Paweł, ksiądz Paweł. Dobrze, że jesteście, ale nie wiem, czy damy radę z tym ciężarem.

Kościelny podszedł do krzyża, pooglądał go z każdej strony, podrapał się swoim zwyczajem za uchem i wyszedł, rzuciwszy „pocekajcie”. Wrócił, taszcząc dwie grube deski, a Jacusiowi kazał przynieść kilka cegieł i ułożyć w stos przed krzyżem. Pawła wielokrotnie zadziwiało, jak w tym wieku można mieć tyle siły.

– Sposobem zrobim, wy trzymajta.

Zapał się, aż stare żyły na szyi nabrzmiały. Krzyż z jękiem drewna przesuwanego po zardzewiałym żelazie uniósł się i dał zdjąć z chropowatych haków, odsłaniając niepobieloną ścianę. Ułożyli go na boku, by uzyskać jak najlepszy dostęp do każdego miejsca. Cała operacja trwała tylko chwilę, ale zasapali się i spocili.

– Uff... Bóg wam zapłać, bez was to by się nie udało. Dawno nikt go nie ściągał.

– Ja nie pamientom. Od dziecka, jak tu z mamom i tatom przychodziłim, to zawsze wisiał. Ale stary proboszcz go nie lubiał, zawsze kazał zasłaniać.

Paweł przypomniał sobie, że kiedy pierwszy raz przyjechał na parafię, to za ołtarzem faktycznie wisiała wielka flaga maryjna, sięgająca od sufitu do podłogi. Kazał ją zdjąć, bo była zniszczona i poszarzała.

– O, widzisz, to jeszcze, jak jesteście, powiesimy tę starą flagę, bo na razie nie będziemy wieszać krzyża. Nie wiem, czy nie trzeba będzie nowego kupić.

Po skończonej pracy siedli na stopniu przed kościołem. Paweł przyniósł po butelce wody.

– To skąd takiego sprytnego pomocnika wzięłeś?

Jacusz faktycznie przy robocie wykazał się siłą i zwinnością małpy. Drabina była zbyt krótka, żeby sięgnąć do poziomej belki, na której miała zawisnąć biało-niebieska flaga. Jacusz podskoczył więc z ostatniego szczebla i już po chwili siedział na belce okrakiem, wiążąc poszarpane przy demontażu troki.

– Ano, broi chłopak trochę, to dyrektorka kazała mi znaleźć dla niego robotę, żeby mu głupie pomysły z głowy wybić.

– To niedobrze – zmartwił się Paweł. – Znaczy że broi, to normalna rzecz dla chłopaka, byle nie broił za bardzo, ale niedobrze, że do kościoła za karę przyszedł pracować. Tutaj nic

za karę się nie robi. Można dostać pokutę, ale to już zupełnie inna sprawa.

– Na mój rozum robota to dobra pokuta za poobijanie młodszego kolegi, i z pożytkiem – zauważył kościelny.

– Nie moja wina, sam zaczynał, a później wszystko na mnie. – Jacuś uznał, że może tutaj ktoś go wysłucha, bo dyrektorka to od razu go do woźnego wysłała za karę. – A taka robota to dla mnie nagroda. Nie muszę chociaż tam siedzieć.

– Skoro to nagroda, to mi ulżyło. – Paweł uśmiechnął się na słowa chłopaka. – Jak będziesz chciał jeszcze kiedyś pomóc, to zapraszam, pracy tu nie brakuje. No ale na nagrodę trzeba zasłużyć. Kazimierz, jak Jacek nie będzie broił, to możesz go do mnie zabierać do pomocy.



Gdy już został sam, wrócił pospiesznie do obiektu swoich badań. Tył krzyża był przede wszystkim brudny – obklejony zastarzałym kurzem, fragmentami zaprawy wapiennej, pajęczynami i kokonami wszelkiej maści robactwa. Stare drewno nie wydawało się kruche ani nadmiernie delikatne, ale mężczyzna miał poczucie, że może mieć do czynienia z zabytkiem, więc nie chciał go w żaden sposób uszkodzić, choćby i poprzez niewielkie zarysowania.

Z plebanii przyniósł odkurzacz, zamontował okragłą końcówkę z włosiem i wziął się do usuwania warstw brudu. Praca szła gładko – wciągał zbity kożuch zanieczyszczeń, odsłaniając kolejne centymetry kwadratowe starego drewna. Tylko w kilku miejscach musiał użyć paznokci, żeby odspoić fragmenty przyklejonego wapna. Tutaj drewno spękało nieco mniej niż z przodu i trochę mniej ściemniało, zapewne przez brak dostępu do światła, ale teraz wydawało się oczywiste, że trzon krzyża kiedyś

poddano działaniu ognia. Dół był miejscami wręcz zwęglony, a cała powierzchnia – opalona i osmolona, przy czym z tyłu te zniszczenia zdawały się zdecydowanie mniejsze. Paweł odnotował w pamięci, żeby sprawdzić w kronikach, czy w kościele wybuchł kiedyś pożar.

Zagłębienia w drewnie układały się w sylwetkę mężczyzny przedstawionego tym razem od tyłu; niemal całe jego plecy osłaniała okrągła tarcza. Zbyt duża ilość rozproszonego miękkiego światła nie pozwalała księdzu dostrzec szczegółów i niuansów postaci, jednak stało się jasne, że trzon krzyża to niegdysiejszy posąg przedstawiający jakiegoś świętego, a może rycerza. Paweł był zachwycony swoim odkryciem. Postanowił wrócić do oględzin po zmroku i ponownie przy użyciu lampy wydobyć dokładniejsze kształty. Na razie zaczął metodycznie aplikować środek owadobójczy. Psikał kolejno do każdej dziurki w poziomej belce, opartej teraz o posadzkę. Nie żałował preparatu, mając nadzieję, że zostało w nim choć trochę owadobójczej mocy.

Paweł nigdy nie miał pamięci do świętych, musiał posiłkować się literaturą, żeby sprawdzić, czy świętego Jerzego, obecnego patrona kościoła, przedstawiano z młotem. Wrócił na plebanie i przesukał całkiem nieźle zaopatrzoną biblioteczkę, odziedziczoną po poprzedniku. Udało mu się znaleźć podniszczony egzemplarz *Martyrologium Romanum* z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku. Przewertował opasłą księgę, aż odszukał wpis dotyczący świętego Jerzego. Znalazł to, co i tak pamiętał. Święty Jerzy żył w trzecim wieku po Chrystusie i ukazywano go z mieczem i tarczą, o młocie nie wspomniano. W pamięci Pawła tlił się jednak obraz świętego z młotem, ale nie mógł sobie przypomnieć, który to z tak licznych panteonu. Przyszło mu do głowy, że młot jako broń – a takie miał pierwsze skojarzenie, kiedy dostrzegł go zatkniętego za pasem wyrzeźbionej postaci – to oręż zdecydowanie starszy niż miecz. Zaczął więc

przeglądać imiona świętych pochodzących ze Starego Testamentu w nadziei, że jeśli zobaczy właściwe imię, to w jego pokrytej patyną pamięci otworzy się jakaś komórka.

Dotarł do litery „E” i odczytywał kolejno:

– Święty Edward Wyznawca, święty Efrem Syryjski, święty Eliasz...

Coś kliknęło w głowie księdza – prorok ze starego testamentu, sprowadzał ogień i burzę. To chyba jego przedstawiano z młotem. Odnalazł notatkę na temat Eliasza, ale i tam nie znalazł żadnej wzmianki o tej broni. Eliasz żył w dziewiątym wieku przed Chrystusem i był znany z dokonywania wielu cudów – jego największym okazało się zwycięstwo nad czterystoma pięćdziesięcioma prorokami Baala, których ostatecznie kazał zgładzić. Jego święto obchodzi się dwudziestego lipca.

Znowu coś drgnęło w pamięci Pawła. Jeszcze przez chwilę próbował uchwycić jakieś skojarzenie płaczące mu się po głowie, ale na próżno. Tutejszy kościół pierwotnie był zborem prawosławnym. Kolejna rzecz do sprawdzenia w kronikach: pod jakim wezwaniem funkcjonował. Całkiem możliwe, że postacią na krzyżu mógł być święty Eliasz, ważny dla prawosławia.

Wieczorem Paweł wrócił do krzyża i od razu ustawił lampę, by światło padało na jego tylną płaszczyznę pod odpowiednio ostrym kątem. Teraz sylwetka stała się odrobinę bardziej wyraźna, dostrzegł też na tarczy zarys ptaka, chyba orła. Orzeł trzymał w szponach gałąź, z której wyrastały dwa dębowe liście.

Paweł jeszcze raz obszedł krzyż, oświetlając go pod różnymi kątami. Przyszła mu do głowy myśl, jednak była ona tak nieprawdopodobna, że zaczął szukać jakichś szczegółów, które by ją wykluczyły. Zastanowił się, jak stare może być jego odkrycie, ale w żaden sposób nie potrafił tego oszacować. Tutejszy zbór prawosławny mógł zostać przejęty przez katolików około siedemnastego wieku, może w końcu szesnastego. Nie miał

pojęcia, jak długo wcześniej istniał tutaj kościół prawosławny, ale jeśli to z jego czasów pochodził posąg, to musiał mieć nie mniej niż jakieś trzysta pięćdziesiąt lat. A mógł też być starszy. Dużo starszy. Na drewnie w kilku miejscach widniały nacięcia, dokładnie takie, jakie powstają po użyciu siekiery czy może topora. Przód został mocno opalony, ale też ryt był płytszy, jakby ktoś startł część drewna, próbując usunąć wizerunek ukazany w belce.

Pawłowi przypomniały się zajęcia z religioznawstwa. Oczywiście to, co powinno go interesować najmniej, pociągało go najmocniej, toteż mimo upływu lat całkiem sporo z tych zajęć pamiętał. Młot i tarcza, orzeł i dąb. To nie pasowało mu do żadnego świętego, za to doskonale pasowało do dawno zapomnianego boga. Jeszcze raz spojrzał na górną część trzonu krzyża. Gdy patrzył z góry, widział trójkątny przekrój drewnianej belki. Wyobraził sobie twarze w miejscach odłupanych fragmentów drewna i nabrał całkowitej pewności co do ich pierwotnego kształtu. Miał do czynienia z posągami Peruna. W przedchrześcijańskiej Rusi Kijowskiej Perun był jednym z głównych bóstw, uważanym za boga burzy, piorunów, deszczu i wojny. Po ogniem i mieczem prowadzonej chrystianizacji kult Peruna płynnie zastąpiono kultem świętego Eliasza, przejmując też datę pogańskiego święta zwanego bodajże Perunicą.

Dochodziła północ. Musiał się położyć, żeby wypocząć przed jutrzejszą niedzielną mszą.



Wierni dopisali jak zawsze. Paweł, zmęczony po pełnym emocji wieczorze i niewielkiej dawce płytkiego snu, ograniczył kazanie do odczytania listu biskupa, który zalegał od tygodnia, bo zawsze było coś ciekawszego i, w jego ocenie, ważniejszego do powiedzenia. Dzięki temu msza skończyła się kilka minut

wcześniej niż zwykle. Paweł pomyślał, że to dobrze, bo ludzie tego dnia byli zupełnie rozproszeni: zza ołtarza i z wysokości ambony widział wiele osób pochłoniętych przeglądaniem telefonów komórkowych i koleżanki plotkujące o czymś zawzięcie. Starszy mężczyzna, rolnik, zawsze obecny w niedzielę i zawsze zaangażowany w doświadczanie mszy świętej, a często też pomagający w pracy przy kościele, usnął w pierwszej ławce. Obudziło go własne chrapnięcie. Speszony, do końca mszy ewidentnie walczył z ciężącymi powiekami.

Paweł przez chwilę chciał udzielić zgromadzonym małej reprimendy, jednak zaraz się zreflektował, że to przecież on przez pójście na łatwiznę nie potrafi utrzymać ich uwagi. Skarcił się w myślach i przykazał sobie sumienne przygotowanie do kolejnej mszy.

Tydzień minął na szczegółowych oględzinach krzyża i poszukiwaniu wszelkich informacji na temat historii tutejszego kościoła. Księgi kościelne nie zawierały nic istotnego – ot, rzędy wpisów urodzin, pogrzebów i sakramentów udzielanych wiernym. Żadnej informacji o pożarze czy innych katastrofach. Od kościelnego Paweł dowiedział się, że kiedyś było tu więcej ksiąg, i to podobno jakichś ważnych.

– No, ten nasz stary proboszcz jaki był, taki był, ale o książki to dbał jak mało kto. Tak się z nimi żegnał, że następnego dnia musiałem go do Lublina zawieźć, bo za kierownicę to się już nie nadawał – wspominał kościelny z uśmiechem. – To całkiem niedawno było, krótko przed śmiercią proboszcza, Panie, świeć nad jego duszą. Sam je spakował, żeby zawieźć do biblioteki na KUL-u, bo tam miały mieć najlepsze warunki. Każdą książkę układał z takim namaszczeniem w bagażniku wyściełanym kołdrą, że aż serce się krajało. Jakby własne dzieci wywoził.

Paweł pomyślał, że może wśród przekazanych woluminów znajdzie coś, co naprowadzi go na jakiś ślad pochodzenia

drewnianej figury, która została wykorzystana jako materiał do stworzenia krzyża. Wybrał numer do sekretariatu biblioteki; zamierzał się przedstawić i zaznaczyć pełnioną przez siebie funkcję proboszcza, licząc na szybkie połączenie z dyrektorem.

– Biblioteka Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, tu ksiądz Paweł, proboszcz parafii świętego Jerzego w Poranowie. – Kiedy wypowiedział na głos nazwę miejscowości, aż pacnął się w głowę. Jak mógł na to wcześniej nie wpasć? Taka zbieżność nazw nie mogła być przypadkowa. Może to jego utarte skojarzenie z tutejszymi pięknymi porankami spowodowało ograniczenia w kojarzeniu rzeczy oczywistych. By uzyskać obecną nazwę miejscowości, wystarczyło zmienić dwie litery w wyrazie „Perunowo”; był coraz bardziej przekonany, że jego kościół stoi w miejscu, w którym niegdyś oddawano cześć Perunowi, a dawno temu wieś nazywała się nieco inaczej niż teraz.

– Halo? – Sekretarka przerwała chwilę ciszy.

– Tak, jestem. Przepraszam. Chciałbym rozmawiać z dyrektorem w sprawie księgozbioru przekazanego do waszej biblioteki przez mojego poprzednika.

– Przykro mi, pan dyrektor nie jest obecnie dostępny, ale połączę księdza z wypożyczalnią.

Jeszcze dobrze nie wybrzmiało ostatnie słowo, a już usłyszał w słuchawce sygnał oczekiwania na połączenie. Jego zadana funkcja widocznie nie zrobiła na sekretarce najmniejszego wrażenia.

– Wypożyczalnia, proszę – odezwał się starszy męski głos, zniekształcony szumami.

Paweł mimowolnie pomyślał, że sekretarka zrzuciła go do głębokich czeluści bibliotecznej struktury, gdzie trzymają najstarszych pracowników przy najstarszych telefonach.

– Dzień dobry, tu ksiądz Paweł, proboszcz parafii świętego Jerzego w Poranowie. Chciałbym porozmawiać na temat księgozbioru przekazanego przez mojego poprzednika.

– Jakich konkretnych pozycji ksiądz szuka? Zaraz sprawdzę, czy są obecnie dostępne.

– Kłopot w tym, że nie wiem, jakie pozycje zostały przekazane, i właśnie tego chciałbym się dowiedzieć.

– Rozumiem. – W słuchawce zaszeleściło. – Ale bez tytułów ciężko będzie coś znaleźć. Połączę z działem informacji naukowej, może tam pomogą. – W słuchawce kliknęło i Paweł niemal od razu usłyszał kolejnego rozmówcę.

– Informacja Naukowa. Słucham?

– Dzień dobry, tu ksiądz Paweł, proboszcz parafii świętego Jerzego w Poranowie. Chciałbym porozmawiać na temat księgozbioru przekazanego przez mojego poprzednika – powtórzył formułkę i dodał: – Chciałbym ustalić, jakie pozycje zostały przekazane.

– Bardzo chciałbym pomóc, ale to chyba nie jest pytanie do mnie. Proszę poczekać, połączę, tam wszystko wiedzą, to może pomogą.

Kolejne kliknięcie i sygnał oczekiwania. Biblioteka zaczęła jawić się Pawłowi jako biurokratyczny stwór z dziesiątkami wydziałów, funkcjonujących w tylko sobie znanym celu. Pomyślał, że zatoczy koło i wróci do sekretarki, jednak kolejne sygnały oczekiwania dawały mu do zrozumienia, że stwór próbuje go wydalić ze swojego okablowania.

– Dział repozytorium i pozycjonowania wydawnictw – rzucił miły kobiecy głos; przyspieszony oddech wydawał się tłumaczyć dłuższą chwilę oczekiwania na połączenie koniecznością dojścia do telefonu. Nie rozłączyło go, nie został więc wydalony, ale nic niemówiąca nazwa wydziału sugerowała, że trafił do biurokratycznej ślepej kieszki.

– Pewnie nie będzie mogła mi pani pomóc. – Paweł westchnął. – Jestem proboszczem parafii świętego Jerzego w Poranowie i chciałbym... Próbuję się czegoś dowiedzieć...

– Tak, oczywiście, te księgi jeszcze czekają na klasyfikację, ale to piękny zbiór i wspaniały dar dla naszej biblioteki. Proboszcz Zygmunt przywiózł nam prawdziwe perełki. Teraz coraz rzadziej trafiają do nas takie rzeczy. Stan jest różny, ale spokojnie, mamy tu świetnego konserwatora, zaopiekuje się nimi w najlepszy możliwy sposób. Włos im z głowy nie spadnie. Albo właściwie spadnie i zostanie skrupulatnie usunięty, jeśli gdzieś się jakiś zawieruszył wśród kartek. Tak jak ksiądz Zygmunt prosił...

– Czy mógłbym je obejrzeć? – Zaskoczony Paweł przerwał wesoły słowotok rozmówczyni.

– Oczywiście, zapraszam. Codziennie jestem w pracy. Proszę pytać o Kasię z repozytorium.

– Świetnie, będę jutro koło południa.

– Okej, do zobaczenia.



Nazajutrz Paweł wybrał się do biblioteki. Na umówione spotkanie włożył czarne spodnie i czarną koszulę z koloratką, sutanna była zwyczajnie niewygodna do jazdy samochodem. Wszedł do tak zwanej nowej wypożyczalni, która już nie była taka nowa, bo za chwilę miała ukończyć dwadzieścia lat. Nie wiedząc, gdzie się skierować, podszedł do jednej z kobiet siedzących za długą ladą i zgodnie ze wskazówkami zapytał o panią Kasię z repozytorium. Okazało się, że musiał wyjść na zewnątrz i skierować się do niepozornego bocznego wejścia do budynku ulokowanego nieco dalej. Kobieta z wypożyczalni zapewne wykonała szybki telefon, bo szczipła, około trzydziestoletnia kobieta machała do niego z daleka, przytrzymując uchylone drzwi.